



Daniel Bourne (ur. w 1955 r.) – poeta, profesor współczesnej literatury amerykańskiej i „creative writing” w The College of Wooster w stanie Ohio, redaktor naczelny magazynu literackiego „Artful Dodge”. Publikował m.in. w: „American Poetry Review”, „Field”, „Ploughshares”, „Boulevard”, „Guernica”, „Salmagundi”, „Shenandoah”, „Indiana Review”, „Plume” i „North American Review”. Autor arkusza poetyckiego „Boys Who Go Aloft” oraz tomów: „Where No One Spoke the Language” i „The Household Gods”. Stypendysta Fulbrighta (1985–87). Tłumaczył na angielski wiersze i eseje Tomasza Jastruna, które ukazały się w książce „On the Crossroads of Asia and Europe”. Przełożył i opublikował w amerykańskiej prasie literackiej utwory innych polskich poetów i pisarzy, m.in: Tadeusza Konwickiego, Marka Nowakowskiego, Jana Polkowskiego, Krzysztofa Kuczkowskiego, Bronisława Maja, Stanisława Esden-Tempskiego, Zbigniewa Macheja, Krystyny Lars, Janusza Andermana, Tadeusza Dziewanowskiego czy Antoniego Pawlaka. W Polsce jego twórczość ukazywała się „Odrze”, „Toposie” oraz podziemnej „Obecności”. Mieszka w Wooster.

Daniel Bourne Pierwszy elementarz



Ratowanie pierwszego miotu

Od początku jest bal. Młoda maciora zjada małe lub przewracając się we śnie, miadzy je.
Próbujemy oddzielić przychówek od tej mieszanki wagi z ciepłem i pozywienia ze śmiercią.
Budujemy zagródkę z odchyloną deskę, by słabe prosięta mogły ucieć spod jej obwisłego brzucha.
Zawsze jest śpiąca i zła.

Dzieci stałe przychodzą do niej, są jak ruchliwe kolby kukurydzy, bryłki ziemi, jak nabrzmiałe kleszcze wcepione w jej czule miejsca. Niczego się nie uczą.
Kolejne umiera w dniu zakupu nowego promiennika.
Ciągłe znajdujemy kawałek skóry lub świnkę ze złamanymi nogami.
Cierpienie kończy łopata.
Ojciec ciska martwe prosię do dołu, zakopie je później.
„Ona nie zmądrzeje” – mówi.

Co i rusz zaglądamy do chlewu. Ojciec odrząca promiennik.
Lampa buja się. Obserwujemy ogromny cień maciory, kołyszący się na ścianie. Miot stopniał do jednego.
„Cholera, to prosię nie wytrzyma do końca karmienia” – stwierdza ojciec. Schyla się, zgarnia je, a ono zaczyna piszczeć.
Różowe kopytka wyprzają się, nogi sztywnieją.
W uścisku dłoni pączkuje pierwszy łęk, pierwsza panika.
Ojciec patrzy na mnie, ja na matkę.

Pierwszy elementarz

gniazdo uwite w siewniku przeszkadzało w biznesie więc but ojca zajął się nim depcząc złożył ofiarę wiosennym siewom krzychałem zabiłeś ślepe myszki zabiłeś je a Taffy moja sterylizowana obroniczyni warczała na ojca gdy ten bił mnie kijem bo nie chciałem się uciszyć lecz następnego dnia śmiałem się

obnosiła w zębach bezgłośnie kocięta wokół podwórza śmiałem się też gdy mogłem przyłączyć się do zniszczenia huśtając kota za ogon dopóki jego kiel nie upuścił mi krwi z palca

bawiłem się z Taffy moim warczącym wrogiem w przeciąganie liny przewleczonej przez jej zęby pewnego dnia wykopała kreta który niszczył nasze podwórze tarzała go między łapami aż ten tuż przed śmiercią pierwszy raz w życiu wydał dźwięk tamtego lata słyszałem jak ojciec klnie gdy jego ręka uwięzła pod lemieszem potrójnego pługa zawołał mnie na pomoc a uderzenie adrenaliny dodało mi sił

lecz odtąd słyszałem krzyk i płacz wszystkiego Taffy która kręciła się przy żniwach ale że już wolniejsza nie zdołała w porę uskokczyć przed kombajnem ojca złapanego w szczypce raka doktorów nie zalecających mu krzyku (szczególnie jemu) i mimo że grzebiąc Taffy płakałem na pogrzebie ojca nie mogłem a teraz nie mogę ukryć we śnie jego który nie krzyczy

ani na psy ani na myszy ani na nic tylko na siebie i mnie próbującego zbudzić się by wyznać mu że nie żyje że musi opuścić dom

Opisywanie katastrofy

To może zdarzyć się w każdej chwili. Wracając do miasta, na zakręcie koło East Fork Lake,

śledzę niebieskie światło, skaczące na niebie nad Olney. Mam dwadzieścia sześć lat, jestem pijany i nie wiem,

czy to bomba, UFO, czy może wielka gwiazda Objawienia, grożąca Ziemi. Nie. Obserwuję bardziej prywatną katastrofę: helikopter ratunkowy,

krążący między brzegiem życia i śmierci. Dziesięć lat później rozrywam w Warszawie kopertę

i czytam, jak wuj Jerzy wypada ze swego quada podczas wspinaczki po liściach na błotniste leśne wzgórze, ciężar ciała z impetem bomby miadzy mu kark,

kontakt z wioskami i miastami jego kończny zerwany. A jednak cud, cud że przeżył, cud,

że nagle mam sześć lat, posadzony na czarnym metalowym [baku,

opieczony mocnymi udami Jerzego, śmigam przez Claremont podczas mojej pierwszej motocyklowej [przejażdżki, ziemia

ucieka tuż pod stopami, tracę oddech, jakim spadał w przepaść, nawet teraz, zawieszony

między Polską a Illinois, czekam na mój następny przebłysk pamięci, na wuja następny haust powietrza, kolejny list

pisany matczyną wzruszoną ręką: *Wracając do miasta na zakręcie koło East Fork Lake...*

Żar, zeńcy, żniwa

Trudno zapasć w sen, gdy warkot stalowoszarych kombajnów dobiega z pól, a ich światła omiatają ciemność, przeczesując kłosy w poszukiwaniu

jedynego znanego ci złota. Stękasz, przewracając się z boku na bok, a noże kombajnu wirują pod jego drogocennymi rękami.

Przyniesli ręce w worku. Miał kuzyn szczęście – ktoś przyszedł w porę i jedną udało się przyszyć.

Po północy materac zagłębia się po jego stronie łózka. Wrócił... Przez sen wydaje ci się,

że cię całuje. Rzeczywiście, w kark, i nic więcej. Do końca żniw daleko. Obracasz się do niego, by gładzić jego zeszywniałe dłonie,

położyć je na sobie. Broda drapie cię w pierś. Nie zauważasz, jak odpływa w sen z lewą ręką zacumowaną u twego boku.

Wnieśli Stacey’ego. Chłopaka przejechała kosiarka. Jego traktor musiał się przewrócić, gdy najechał tylnym kołem na pień.

Nawet z nim u boku sny będą cię dręczyć. Widzisz jego trójkołowy traktor, stający dęba przy orce, prosięta wpadające w szal od woni krwi z przeciętego palca,

bezrogiego byka, grożącego tępym młotem lba, że przejmie twoje stado i pola, jeśli ich nie spłacisz. Pędzisz z szalonym krzykiem ku pastwisku.

Cdyby ojciec tam się nie zatrzymał, nie znaleziono by ich. Zepsuty piec – poszli spać i nigdy się nie zbudzili.

W ciszy zamkniętego domu (klimatyzator właśnie się wyłączył) ludzkie zawodzenie sowy wyrывa was ze snu. Drżąc wołasz o przykrycie.

Okryj mnie – mówisz. Dopiero wtedy uspokojona zasypiasz, oczekując jutra.

Sucha błyskawica

Nocą wyszliśmy na trawnik za domem obserwować suche błyskawice. „Tam, nad rzeką Ohio, jakieś sto mil stąd”

– powiedział ojciec, gdy grzmot rozdarł nagle napiętą płachtę nieba, dość daleko, by nas nie dosięgnąć.

Gwiazdy świeciły jasno, jak zawsze w czasie suszy.

Następnego ranka poszedłem z moim kijem, rękawicą [i plastikową piłką

na wypaloną słońcem trawę grać w baseball z samym sobą – uderzać i łapać. Odliczałem sekundy potrzebne niewidzialnym graczom na dotarcie do pierwszej bazy i czas lotu odrzucanej przez obrońcę piłki. Na farmie nie mogłem liczyć na kolegów aż do jesieni. Prowadziłem ligową statystykę w zeszycie z indiańskim wodzem na okładce.

Rozmazane ołówkowe notatki lśniły od potu i plam po rozgniecionych owadach.

Tego samego roku walczyłem z gorącym uściskiem prześcieradła, a krople potu były jedyną wilgocią w piekielnej kuźni suchych sierpniowych upałów.

Zmagąłem się na nieznanym boisku mego ciała, znajdując nowe zastosowanie dla tego, co nazywałem swoim kijem. Obawiałem się odkrycia mojego sekretnego sportu przez [rodziców, a jednak

każdej nocy, w ciszy moja ręka wywoływała własną suchą błyskawicę. Była piękna, chociaż wiedziałem, że ta prawdziwa jest ciągle sto mil stąd.

Koń na patyku

Dosiadam cię okrakiem i w cwał przez łąd wysokich traw, obok szopy, przez bezkresny Teksas. Poszukuję i odkrywam.

Chciałbym, żebyś istniał zawsze. Masz plastikową głowę, malowane oczy i długi tułów, mocny jak trzonek od grabi. Siostra

woła mnie z ogrodu: *Chodź tu! Konie wyskoczyły z ogórków.*

Pasą się obok jej wrosłych w ziemię kolan, brudnych od kopania.

Czas na atak. Czubek kopyta twego konia stuka szaleńczo w chodnik. *Amigo, amigo – wykrzykujesz. Te ogórkowe konie nie mogą istnieć – są głupie!*

Pod brzuchem każdego korniszona cztery krótkie witki zamiast nóg, a sterzący patyk dzierży zieloną główkę. *Korniszonowy mózg.*

jak u siostry – mówię. Tylko ona mogła stworzyć coś od początku martwego.

Ruszamy galopem. Mój rżący patyk przelatuje przez jej ogórkowe stado

i gna z powrotem do Teksasu. Siostra płacze i zlorzczy, a ja rzucam przez ramię: *Masz za to, że weszłaś nam w drogę.*

Koniku – zawsze będziesz mój! Zawsze będziesz.

Chłopcy ulatują w przestworza

Chłopcy codziennie giną na huśtawkach. Skręcają liny niczym wścieckie goryle,

by za chwilę wirować aż do zawrotu głowy. Rozkołysany świat wokół

czeka na ich wyższy lot. To zabawa w myśliwiec.

Wzniesie się i puścić serię nogami. Jak punkty na radarze

pojawiają się ich matki. Chłopcy rozkazują psom, by się ukryły.

Katapultując się nad betonem, dotykają stopami gałęzi.

Lecz skaczą już nie dla zabawy. Codziennie zdobywają kolejne gwiazdki.

Matki długo wykrzykują ich imiona i imiona ich psów.

Tłumaczenie: Tadeusz Dziewanowski